

TADEUSZ TROŚCIANKO

Strzelec Tadeusz Trościanko, 6 Batalion Czołgów „Dzieci Lwowskich”.

W kilka tygodni po wkroczeniu wojsk sowieckich na wschodnie terytoria Polski zaczęły się masowe aresztowania i wywożenie całych rodzin w głąb Rosji. Wywożono przeważnie bez podstaw – wystarczyło, by rodzina uchodziła za zamożną lub ktoś z jej członków pracował w Polsce społecznie. Takich jako „burżujów” i wrogów komunizmu usuwano z ziem polskich. Nocą zajeżdżały samochody, uzbrojeni NKWD-ziści wpadali do mieszkań, kazali się zbierać, nie pozwalali nic zabierać ze sobą, wśród klątw i popychań ładowali na auta i wywozili na najbliższą stację kolejową. Pozostawione mieszkania i dobytek zajmowały sprowadzone rodziny oficerów sowieckich. Największe natężenie tych aresztowań i wysiedleń przypadło we Lwowie w 1940 r. na marzec i kwiecień. 28 marca 1940 r. aresztowano mnie i kilkunastu kolegów. Pierwsze dziesięć dni przesiedziałem w piwnicy więzienia „Pod Matką Boską”, następnie przetransportowano mnie do „Brygidek”. W obu więzieniach panowały straszne warunki. Cele zapchane były szczelnie ludźmi brudnymi, zawszonymi. Jedzenie [było] marne: dwa razy dziennie zupa i 600 g chleba.

W „Brygidkach” siedziałem do sierpnia, stąd odtransportowano mnie do więzienia na Zamarstynowie. Tu zaczęło się śledztwo. Warunki w celach nie były lepsze niż w „Brygidkach”, a prócz tego zabijano nas moralnie. Śledztwa bowiem toczyły się przeważnie nocami, wymuszano na więźniach zeznania (z powodu niżej opisanych tortur przeważnie nieprawdziwe) przez bicie pałką gumową, bicie w gołe pięty, kopanie gdzie popadło itp. W ten sposób mniej więcej w połowie września zakończono moje śledztwo. Zostaliśmy wywiezieni do więzienia „na Jachowicza” i tu otrzymaliśmy akty oskarżenia. Zarzucały nam organizowanie się przeciwko ZSRR, wrogość i chęć obalenia komunizmu, kontrrewolucję itp. Przewieziono nas z powrotem na Zamarstynów. 29 października 1940 r. wczesnym rankiem wywołano mnie z celi i pod ostrym

konwojem zaprowadzono na salę sądową, gdzie było nas 25 oskarżonych. Sam przewód sądowy był zwykłą komedią, albowiem wyrok był z góry przygotowany. Sąd w przeciągu nie więcej jak pięciu minut zarządził i odczytał wyrok na 25 ludzi napisany na maszynie.

Trzech skazano wyrokiem na śmierć, a to Kołbińskiego, Szpularza i Fidalskiego, pięciu na dziesięć lat łagrów (w tym mnie), resztę od siedmiu do ośmiu lat łagrów. Po wyroku odesłano nas do „Brygidek”. W celach roiło się od wojskowych więźniów sowieckich, którzy uprawiali na naszych ludziach istny bandytyzm. Przychodzących na celę rabowano z ubrań i żywności, przydzielano im miejsca przy drzwiach obok *paraszy*. W pierwszych dniach grudnia byliśmy już w transporcie do łagrów. Podróż ta trwała 45 dni, a warunki jej były okropne. Ciągłe głodni, w zimnym wagonie, traktowani jak psy przez konwój, który za byle co nie szczędził bicia i klątw. Codziennym pokarmem była słona ryba lub śledź, a strasznego pragnienia po zjedzeniu nie można było ugasić z powodu niedostarczania wody. Gdy się o nią upominano, zabierano takiego z wagonu, bito i sadzano do karceru.

14 stycznia 1941 r. byliśmy na miejscu, po czym w czasie wielkich mrozów rozwieziono nas po koloniach. Ja i E. Budnik dostaliśmy się na 17. kolonię. Zaraz na następny dzień wypędzono nas do pracy, do budowy drogi kolejowej. Praca była bardzo ciężka, normy wysokie, a wyżywienie bardzo marne: rano rzadka zupa, wieczorem znów zupa i dla tych, co nie wyrobili normy, 350 do 500 g chleba. Praca trwała od świtu do nocy. Wielu zaczęło chorować na nagminną chorobę zwaną *cyngą*, ujawniającą się puchnięciem ciała i otwartymi ranami.

Wiosną przenieśli nas na tzw. *podkomandirówkę* 17. kolonii. Tutaj warunki higieniczne były straszne. Tygodniami niemyci i niegoleni, zawszeni, spaliśmy w nieopalanych, dziurawych barakach, które roiły się od pluskiew i innego robactwa.

Z wybuchem wojny skupiono nas, wszystkich Polaków, na karnej kolonii nr 8. Racje chleba i innych artykułów spożywczych zmniejszono prawie o połowę, praca była jeszcze cięższa, chodziliśmy pod ścisłym konwojem, traktowano nas bardzo wrogo. Z początkiem września 1941 r. dowiedzieliśmy się o umowie zawartej między naszym rządem a rządem sowieckim i o mającym nastąpić zwolnieniu. Czekaliśmy jeszcze długo, albowiem dopiero z początkiem października ogłoszono nam amnestię i odwieziono do najbliższej stacji kolejowej Izwiazkowaja. Tu jednak spotkał nas straszny zawód: po zwolnieniu wszystkich więźniów pospolitych, nas nie zwolniono. Odesłali nas do kołchozu więźniów, gdzie przez cały miesiąc

pracowaliśmy na tych samych warunkach co więźniowie; obiecywano nam, że lada dzień zostaniemy zwolnieni, tymczasem zwolniono tylko kilku z mniejszymi paragrafami [właśc. wyrokami], pozostałych zaś, przeszło stu ludzi, odesłano z powrotem na karną kolonię nr 27.

Zaczęło się znów to samo życie: praca ponad siły od świtu do nocy, wyżywienie nędzne, prócz tego dobijano nas moralnie, wymyślając za byle co od wściekłych psów, bandytów itp. Powiedziano nam otwarcie, że nas nie zwolnią, ponieważ takich bandytów i wrogów nie zwalnia się, że musimy tu „zdechnąć”. Pobyt na 27. [kolonii] trwał ok. dwóch miesięcy. Przez ten czas cierpieliśmy ciągle głód – ludzie z głodu puchli i mdleli, całkiem opadając z sił. Kilkunastu, a w tym dwu moich kolegów, pozostało tam na zawsze. A. Kwaśnicki zmarł na dwustronne zapalenie płuc, a R. Biliczka z wycieńczenia.

Zwolnienie przyszło, jak potem dowiedzieliśmy się, po interwencji naszych władz, które dowiedziały się o nas od tych szczęśliwców, którzy zostali zwolnieni z kołchozu. Ponowna wiadomość o mającym nastąpić zwolnieniu przyszła 6 grudnia 1941 r. Prawie wszyscy byliśmy wtedy u kresu sił w szpitalach. Na wolność wypuszczono nas 26 grudnia 1941 r.